

JACEK CIEŚLAK

„Telenieexpress” to na twojej drugiej solowej płycie „Pracownia” narracja prowadzona pomiędzy piosenkami przez Macieja Orłosa. Czy chodzi o stworzenie platformy opowieści dla wielu pokoleń?

Moja rodzina wyemigrowała z Polski, jak miałem dwa lata, i wychowywałem się w Niemczech. Spośród krajowych telewizji mieliśmy dostęp tylko do TVP Polonia, gdzie o 17 leciał „Teleexpress”. Odkąd pamiętam, a jestem z rocznika 88, był z nami Maciej Orłoś.

Skądinąd twój kolega po fachu, aktor. Ale o tym porozmawiamy później.

Bardzo chętnie. Plan był taki, że w piosenkach postanowiłem opowiedzieć o sobie, o współczesności. To jest zawsze ten sam pamiętnik, w którym chodzi o szczerość i komentowanie swoich wad w nadziei, że część rodaków powie: może coś w tym jest? Może coś trzeba w sobie zmienić? Na pewno nie chciałem moralizować, co kiedyś mi się zdarzało. Wolę mówić ze swojej perspektywy, mamy przecież różne charaktery, w inny sposób byliśmy wychowani. Nie mogę nikogo za to piętnować, mogę co najwyżej usiąść do dyskusji i zapytać: „Czy nie uważasz, że?”. Zaś Maciej Orłoś jest soundtrackiem z przeszłości. Dzięki niemu mam przed oczami obraz mojego taty i mamy siedzących na kanapie, a i siebie jako dzieciaka, który już wie, że tata jest alkoholikiem. Teraz zmagam się z jego śmiercią, będąc dojrzałym, wiedząc, że życie działa na nas w różny sposób. „Telenieexpress” przypomina mi o emigracji, o Polakach w Niemczech, którzy są jednak inni niż Polacy w kraju. Dzięki tej podwójnej narracji opowiadam dwie historie naraz, m.in. o zespole Cumulus. To zespół mojego ojca. Działał tylko dwa lata. Tata całe życie słuchał muzyki elektronicznej, Kraftwerk i OMD. Dlatego jedna z kompozycji jest stylizowana na Jeana-Michela Jarre’a. Zamiast minuty ciszy przygotowałem z pomocą kolegów z Beat Biura taki utwór, żeby złożyć tacie hołd w specjalny, muzyczny sposób. W utworze jest dużo DNA ojca. Teraz miałby sześćdziesiątkę – niestety, zmarł rok temu. Moja sytuacja też się zmieniła. Jak jest kłopot – nie mam do kogo zadzwonić. Teraz jestem jedynym ojcem w rodzinie, stałem się ojcowską instancją dla syna. Jest więc zmiana pokoleń i aura przemijania.

Zespół taty w opowieści „Telenieexpressu” rozplynał się jak chmura, a ty tworzysz nowe nagrania o swoim pokoleniu, który pięknie opisałeś: jest trochę cyniczne, może mniej wie od starszych, ale stawia na przyjaźń, związki miłosne na krótkie, za to w czasie trwania... najlepsze!

Coś w tym jest. Wielu ludzi i przyjaciół mi to potwierdzało. Cieszę się, że generacyjnie nie załapałem się na Tindera i inne tego typu aplikacje, bo już bym nie żył. Seks bywa przecież jak narkotyk. Oczywiście, czasami żałujemy, że nie korzystaliśmy z życia na maksa, a życie muzyka daje dodatkowe możliwości. Jednak na koniec dnia myślimy: to dobrze, że jest rodzina. Znam przecież tylu ludzi, którzy, kiedy związek wchodzi w fazę stabilizacji, zaczynają się nudzić, wolą powiedzieć, że są poje...ni, wziąć winę na siebie, aniżeli pracować nad relacjami z partnerką lub partnerem. Branie na siebie winy za rozstanie to najnowsza forma wymówki, wygodna również dla drugiej strony. Jest to jednak

klamstwo. Szczerość wymagałaby powiedzenia, jak jest naprawdę. Znam dobrze osoby, u których cyklicznie, po roku następuje rozstanie. Mówią, że się nie układa. Odpowiadam, że jest inaczej: to jest pierwszy moment, kiedy powinniśmy zacząć pracę nad sobą. Teoretycznie łatwiej jest zacząć od nowa. Ale tak można bez końca! Mam więc kolegów-rówieśników, których ta sytuacja zaczyna już stresować. Uspokajam ich, mówiąc, że nie jest nigdzie napisane, że trzeba spłodzić syna, zasadzić dąb i zbudować dom. Osobiście wybrałem życie w rodzinie. Ale wyobrażam sobie, że można przeżyć życie z pełnią doznań każdego dnia aż do końca. Pewnie to też ma swój urok, choć jednocześnie spodziewam się wizyt przyjaciół na Wigilię, gdy nie będą mieli dokąd iść.

Sporo śpiewasz o nieśmiałości. To, co jest naszym marzeniem, paraliżuje nas?

Wywodzę się ze środowiska aktorskiego. Zawsze, kiedy chciałem mieć jakąś rolę – spinałem się, spalałem i często jej nie dostawałem. A kiedy mi nie zależało – wszystko wpadało w moje ręce. Nie chciałem, ale brałem, bo czasami chodziło o pieniądze, trzeba jakoś żyć. Podobnie jest z międzyludzkimi relacjami. Czasami narzucamy się komuś. Jeśli ktoś chce z nami być – pozwólmy mu czasami

odejść. Kiedy będzie chciał – wróci. Nic na siłę. To działa na wielu płaszczyznach. Oczywiście, w życiu bywa różnie. Po niemiecku jest takie powiedzenie – ucieczka do przodu.

Lech Wałęsa często używał tej frazy.

Chodzi o to, że najbardziej spalające jest oczekiwanie, niewiedza i niepewność. Dlatego tacy jak ja rzucają się na każde większe wyzwanie. Może z tej próby zostanie tylko gruz, ale wolę się zmierzyć z problemem niż czekać. Już dawno tego nie miałem, ale kiedyś, gdy ciemną ulicą nocą szła grupa nieprzyjemnych typów, którzy wyglądali tak, jakby zaraz mieli mnie skroić – pierwsze, co robiłem, podchodziłem do nich i pytałem: „Panowie, k...wa, nie mam pojęcia, gdzie jestem, jak dojść tu i tu?”. Wiedziałem, gdzie jest ta droga, której nie szukałem, ale wytrącałem potencjalnych agresorów z równowagi i rozbrajałem swoje niepokoje.

Z kobietami też tak było?

Są różne patenty. Chodzi o to, że potrafię być estradowym graczem. Dobrze się czuję na scenie. W życiu może być inaczej. Dlatego na imprezie lubię sobie wyjść zapalić fajka. Nie czuję się wtedy sam. Fajek jest ze mną. Często sięgałem po fajki, bo jednak w dużych grupach, zwłaszcza gdy są w nich ludzie,

którzy chcą być fajni, a ja ich nie znam – czuję się średnio dobrze. Wolę mniejsze, zaufane grona. Również dlatego, że ci tak zwani fajni ludzie mają takie zajęcia i fascynacje, że mało kto wie, o czym mówią. To jedno. A jest też druga sprawa. Może tego nie widać, może można mnie uważać za osobę niekoniecznie dobrze się socjalizującą, ale jednocześnie mam łatwość w obracaniu słowami – łatwo mogę przynieść radość albo ból. Zwracam na to ostatnio uwagę, bo słowo to bardzo potężna broń.

Mamy na płycie utwór o sytuacji zwanej umownie cyber-PRL z bigosem i klaskaniem w samolocie, przez wielu teraz uważanym za żalosne. O co w tym muzycznym bigosie chodzi?

Ja nadal klaszczę. Mieliśmy nie latać jako homo sapiens, a jednak polecieliśmy, więc należą się brawa. Oczywiście cyber to my teraz, a PRL to jest to, co jest w nas, pomimo tego że nie zaznałem PRL osobiście. Jednak nie chcę wymazywać tych rzeczy. Anegdota Janusz i bigos to jest również nasza tożsamość. Uważam Polaków za przepiękny naród. Możemy się prześcigać w gościnności. Dlatego tak bardzo mnie boli, że często nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Jednocześnie rozumiem, że z naszą historią, kiedy bardziej przyjmowaliśmy karty, niż je tasowaliśmy i rozdawaliśmy – jesteśmy



HUBERT MISIĄCZYK

MIĘDZY BIGOSEM A ZŁOTEM

ROZMOWA Z VITO BAMBINO, MUZYKIEM, AKTOREM

Cieszę się, że generacyjnie nie załapałem się na Tindera. Już bym nie żył.

Seks bywa jak narkotyk. Czasami żałujemy, że nie korzystaliśmy z życia na maksa, ale na koniec dnia myślimy: dobrze, że jest rodzina.

jako naród bardzo nieufny. Jak z naszą historią ufać sobie bezgranicznie? Jak ufać innym? To bardzo trudne. Dlatego się kłócimy. Ale w finale mojej opowieści zrobiłem coś przewrotnego – Polska znowu się jednoczy. Tylko może nie mówmy tego, a nareszcie zróbmy to!

O tym, jak bardzo potrafimy sobie dokuczyć, jest chyba duet z Ewą Bem. Sceptycznie stwierdza, że może nie dożyć powrotu wspaniałych czasów, bo kiedy przyjdzie czas refleksji i pokory – takich jak ona nam zabraknie.

W zabawny sposób się poznaliśmy. Kiedyś, w „Dzień Dobry TVN”, zapytana, jak ocenia dzisiejszy show-biznes, powiedziała że jest taki Vito Bambino, ale nie wie, jak do niego trafić.

Bo ty, tak jak Ewa Bem, lubisz soul.

Tak jest. A jak przyjechałem do Warszawy po raz pierwszy w 2003 r. i zakochałem się w tym mieście absolutnie oraz w ludziach, których spotkałem, słuchaliśmy „Pomidorów”, jarając szluga na parapecie. Ewa Bem długo towarzyszyła mi w piosenkach, a kiedy dowiedziałem się, że jest szansa, żeby zrobić coś razem, postanowiłem poruszyć naprawdę ważny temat. Ja mam 34 lata i nazywam się czasami starym śmieciem. Ewa Bem ma 72 lata. Chodzi o przemijanie. Mielśmy niełatwe rozmowy. Poprosiłem jednak Ewę, by zaufała mi, ponieważ kontekst płyty jest szerszy niż to, co powiedziała, słuchając jednej piosenki, wspominając pół żartem, pół serio, że zaprosiłem do nagrania babcię do śpiewania o przemijaniu. Odpowiedziałem, że jestem przekonany, że zejść z tego świata wcześniej niż ona. Przecież nikt tym wszystkim nie kieruje: różnie może być. Musimy chyba zacząć myśleć, że naszym życiem zawiaduje również przypadek. Dzieci rodzą się i umierają w głodzie, a starsi ludzie dożywają dziewięćdziesiątki, a nawet setki. O tym jest ta piosenka. Jesteśmy kosmicznym pyłem. Cieszymy się, że jesteśmy tu na chwilę, innym nawet to nie było dane. Jest też kwestia przemijania sławy. Jesteśmy muzykami. Ewa jest wielką jazzową gwiazdą. Ale czy za sto lat ktoś sięgnie po naszą muzykę? Przecież po największych cywilizacjach nie pozostał nawet gruz. Przy okazji mogę dodać, że śpiewamy o utopii, bo świat może nigdy nie wejść na właściwe tory. Ale im bardziej zdajemy sobie sprawę z przemijalności nas i świata – tym bardziej cieszymy się z tego, co teraz mamy. Czy to dał nam Bóg? Mam wielu przyjaciół, którzy wierzą w wiele różnych rzeczy.

Jesteś chyba drugim po Kaziku artystą, który śpiewa o Kuźnie, a de facto o Polsce zwanej Polską B. A może o tym, że piękno sąsiaduje z brzydotą?

Cieszę się, że opowiedziałem tę historię: jestem królem na scenie w czarnych okularach, a zaraz potem czuję, że ledwo się trzymam na nogach, w koło jest morze betonu, a ja muszę robić sobie zdjęcia z fanami. Dojeżdża mnie to, że powinienem być wdzięczny za wyjątkowe chwile, tymczasem górę bierze zmęczenie. A przecież mam prawo być zmęczony, mam prawo pamiętać, że przy pięknie oświetlonej scenie stoją toi toie, gitarzysta klei sobie pasek, żeby mu gacie nie spadały.

W sumie to bardzo amerykański obraz show-biznesu, gdzie scena jest piękna, ale wokół panuje syf. Dobrze pokazuje to film „Elvis”.

Zgadzam się absolutnie i taka świadomość dużo mi dała. Całe życie

słuchałem rapu. Ameryka była dla mnie wzorem. Pojechałem tam i zdałem sobie sprawę, że w dużej mierze to piękne dekoracje i papierowe domki. Można powiedzieć: hej, Amerykanie, dawajcie do Europy, bo mamy długą i ciekawą historię. Jednocześnie Ameryka pokazuje, że diamenty rodzą się pod ciśnieniem. Dzięki temu jej popkultura jest wyjątkowa. Ale też cena, jaką płacą artyści, jest wyjątkowa. Trzeba wejść na szczyt, żeby z niego spaść, zarobić wielkie pieniądze, żeby je roztrwonić. Wszystko jest na moment. Jak w Las Vegas. Może dlatego w Ameryce, im bliżej było do Europy, tym lepiej się czułem. Mam wrażenie, że w Nowym Jorku ludzie są szczeri niż w Los Angeles. Tam pozdrowienia bywają puste i wcale nie są zaproszeniem do rozmowy. To kolejna wielka iluzja, co wzmocniło moją wiarę w nasz kontynent. Chętnie więc pojadę do Ameryki zjeść coś fajnego, zobaczyć kilka squatów, ale nie chcę tam mieszkać na stałe. Cieszę się, że połowa amerykańskiego jedzenia jest w Europie wypierana, ponieważ jedzą pewnie straszny gruz. To wszystko trafiało do mnie z wiekiem. Nie wszystko złoto, co się świeci. De facto złoto mniej waży, nasza branża mniej waży – niż życie, niż każdy z nas i to, co możemy naprawdę przeżyć. To chciałem powiedzieć na płycie.

Są też duety z sanah i Dawidem Podsiadłą. Można odnieść wrażenie, że istnieje gwiazdorska karuzela, bo każdy z was jest wszędzie, każdy z każdym na każdej płycie śpiewa. Jak działa ta parada kolaboracji?

Mam o tyle łatwiej, że wywalczyłem sobie niezależność, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji. Nikt mi nic nie może powiedzieć, ponieważ nagrywam płytę i udzielam licencji. Jeśli ktoś cokolwiek zaczyna marudzić – musi się spodziewać, że się zdenerwuję. Tymczasem moi przyjaciele, o których wspomniałeś, podejmują strategiczne decyzje nie zawsze samodzielnie, nawet jeśli chodzi o takie szczegóły jak miks nagrań. Taka jest specyfika wielkich karier: na artystę pracują wielkie zespoły i na odwrót. W takim układzie każda decyzja wpływa na życie wielu ludzi. To ogromna odpowiedzialność. Ja jej nie mam. Od początku mówiłem kolegom z Bitaminy: kochani, może kiedyś powiem jakąś głupotę, nie przejmujcie się. Równie dobrze mogę powiedzieć, że wychodzę z tej branży, jeśli muzyka nie będzie dawała mi szczęścia. Może możliwość udziału w nagraniu mojej płyty była dla gości szansą na to, czego nie mogą zrobić na co dzień?

sanah śpiewa pełną piersią. Rockowo.

Powiedziałem jej, że rzadko ją można usłyszeć w takiej formie.

Dawid śpiewa trochę jak ty.

Zabawiliśmy się artykulacją. Pozwolił sobie na śpiewanie, które być może na jego płycie uruchomiłoby sto czerwonych lampek. Trzeba byłoby zrobić powtórkę. U mnie nie musiał tego robić, bo był na sesji u swojego przyjaciela i mógł robić, co zechce. W takiej formie go zaprosiłem: przyjdź i nagraj, co tylko chcesz, bo ja śpiewam, co chcę. Zartuję z siebie, nazywając siebie Boombino od boomerów. Bądźmy na luzie.

Ale z Dawidem śpiewacie o ważnej sprawie.

Tak: Mamo, będzie OK. Mamy nie są z nami, nie są w stolicy, ale mówimy im, że będzie OK. Trochę zaleję, ale nie musisz

się bać. Przeżyję. Oczywiście, mam swoje kłopoty, ale zaufaj mi. Dałaś mi dobry plecak zasad na drogę, więc ustąpię miejsca w metrze, nadal jestem twoim złotym chłopcem. To oczywiście piosenka, w której liczy się kontekst śmierci ojca. Chciałem mamę uspokoić. I powiedzieć: mamuś, sama też idź się bawić, nie podpieraj ścian. Dawid ma swoje życiowe historie i dla niego mama też jest ważna. Z Dawidem mamy świetny przelot. A nie ma łatwo, bo jest gwiazdą wśród gwiazd.

Miałem okazję być w teatrach dramatycznych w Düsseldorfie oraz w Bochum, gdzie grałeś, to giganty, jakich nie ma w Polsce. Opowiedz o swoich teatralnych osiągnięciach, które w Polsce są wciąż mało znane.

Kiedy moja rodzina wyemigrowała do Niemiec, niemiecki był moim pierwszym językiem, jednak do teatru wszedłem dzięki językowi polskiemu, co związane było z lekcjami, na które chodziłem. Wtedy tego nie znosiłem, a teraz doceniam. Pani Barbara Olchawa, która zajmowała się polskim teatrem, nawiązała kontakty w Polsce oraz z ogniskiem teatralnym państwa Machulskich w Warszawie. Podpisała umowę o wymianie młodzieżowej, na którą nie chciałem jechać, ponieważ uważałem się wtedy przede wszystkim za rapera i koszykarza. Na szczęście dałem się namówić na wyjazd. To było 20 lat temu i poznałem w Warszawie moich najlepszych przyjaciół. Okazało się, że nikt oprócz mnie nie chce być ganstaraperem, wszyscy są zwyczajni, a wyróżnia ich zamiłowanie do kreacji i zdolność kreacji, czyli robienie czegoś wielkiego z niczego. To była wspaniała lekcja wyobraźni. Na obozie było pięć grup teatralnych, rano każda z nich dostawała temat do opracowania, a już wieczorem trzeba było pokazać wszystkim gotowy spektakl. Nie dowierzałem, że to możliwe! Zobaczyłem, w jak magiczny sposób można przetworzyć rekwiizyt. Z sofy zrobić dom lub statek. Licząc na fantazję scenicznych partnerów i widzów, można było grać nieistniejącym rekwiizytem. Wracając z Warszawy, wiedziałem już, że chcę się zająć teatrem. Już wcześniej pisałem rapowe teksty, byłem więc pewny, że moim wyborem będzie sztuka, bo w innych rzeczach jestem kiepski. Potem coraz bardziej zanurzałem się w świat teatru, poznając jego wspaniałość, ale też dowiadując się, jak toksyczna może to być religia – z budowaniem hierarchii, z walką o rolę, z udowadnianiem, kto jest z publicznej czy prywatnej szkoły. W Akademii chcieli nas złamać, stworzyć od początku, mieć nad nami kontrolę. Na pewno pomagało mi to, że w przeciwieństwie do innych studentów nie mieszkalem w akademiku w Kolonii, tylko po zajęciach wracałem do domu w Leverkusen, co zajmowało ledwie 20 minut. Nie nasiąkałem cały czas teatralnym sosem. Miałem swój świat. A gdy skończyłem szkołę w wieku 23 lat, nie zgadzałam się na stały angaż, żeby móc robić własne rzeczy i mieć wolność decydowania o sobie. To była dobra decyzja, poznałem bowiem historie ludzi, którzy zdecydowali się na stałą pracę w mniejszych ośrodkach. Trafiali w pewnym sensie do więzienia. To samo dotyczyło zresztą większych miast. Premiera za premierą i niewielkie gaże. Teatr jest wielką iluzją, dlatego dla mnie najważniejsze było zawsze pokazanie, kto co naprawdę potrafi.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?

Miałem paradoksalne doświadczenia. Zdobywałem uznanie rzeczami, które mnie dużo nie kosztowały, na przykład w komedii. A jak wszyscy wiedzą, najciekawiej jest w tych sytuacjach, gdy uznanie nie przychodzi łatwo. Ciężko piłujesz rolę na próbach, a potem przeżywasz katharsis. Wiem, co to znaczy, a przecież takie wzloty nie zdarzały się na wielkich premierach, tylko na kolejnych spektaklach lub w skromniejszych okolicznościach. To stojąca owacja, kiedy daliśmy z siebie wszystko w jakimś prowincjonalnym teatrze. Nigdy nie zapomnę „Czekając na Godot” Becketta. Grałem rolę Lucky’ego, a mój kolega Chorwat – Pozzo. Reżyserował mój ulubiony profesor Dimitri Below. Nie musieliśmy sobie wszystkich rzeczy tłumaczyć, co było konieczne w relacjach z kolegami z Niemiec. Teoretycznie scena miała trwać 10 minut, tymczasem graliśmy 40 minut i nikt nam nie chciał przerwać. Nie mieliśmy już tekstu, a wciąż graliśmy. To był wspaniały teatr, doświadczenie, którego nie da się wyjaśnić słowami. To trzeba przeżyć. Wszyscy przeżywali katharsis. Oczywiście w filmie też może być wspaniale. Można grać blisko siebie, intymnie, co w teatrze nie jest możliwe.

Co polecasz ze swoim udziałem na platformach streamingowych?

Na pewno „Fucking Berlin”. Bardzo lubiłem mierzyć się na planie z wielkimi gwiazdami, na przykład z Tobiasem Morettim. Powiedzmy, że to taki niemiecki Marek Kondrat. Różnie bywa z takimi divami. Bywają skromne i rozkapryszone. To dopiero teatr!

A co w Polsce?

Kiedy dostaję propozycję, jest mi miło, ale myślę, że to role dla mojego wizerunku, a nie dla mnie, Mateusza Dopieralskiego. Przecież nikt z tych, którzy mnie zapraszali, nie widział mnie na scenie teatralnej. Widzieli tylko Vito Bambino. Dlatego do tej pory odmawiałem. Lubię zaczynać od zera. Może tak będzie również w polskim filmie i serialach? Na pewno nie chciałbym, żeby to było na kredyt Vito. Jako Vito reżyseruję teledyski i może zabawię się w pierwszą fabułę? Ale mówię to już od sześciu lat. Zobaczymy!

Jesteś ciągle obecny w mediach i na scenie z zespołem Bitamina, w gwiazdorskich duetach i triach. Czy mimo wszystko odczuwasz syndrom sprawdzianu drugiej solowej płyty?

Ta nowa solowa płyta jest drugą pod nazwą Vito Bambino, a przecież to mój siódmy czy nawet ósmy album solo. Jest mi trochę łatwiej, bo mam podobne doświadczenia z zespołu Bitamina. Doświadczenia w sumie zaskakujące. Był taki moment, gdy fani myśleli, że „Kwiaty i korzenie” są naszą drugą płytą, tymczasem już wcześniejsza „Kawalerka” była czwartą. Po prostu nikt nas nie słuchał. Jestem przyzwyczajony do tego, że ktoś może coś nie interesować, może o czymś nie wiedzieć. Dlatego wszystko, co robimy, robimy dla siebie. Zawsze pamiętam, że wywodzę się z zespołu, który tworzą przyjaciele, mający zasady. Dlatego odmawialiśmy udziału w reklamach. Moja solowa kariera jest po to, żebym mógł się swobodniej wypowiedzieć, nie narażając na nic chłopaków.

/©©

Vito Bambino (Mateusz Wojciech Dopieralski) – aktor, piosenkarz i producent muzyczny. W kwietniu tego roku ukazał się jego drugi solowy album „Pracownia”. Laureat Fryderyka 2023 za najlepszy utwór roku („Za daleko”) nagrany w duecie z Mrozu